

Operetka z metafizycznym dreszczem

W Teatrze „Studio” spektakl, o którym już się dużo mówi i na który bardzo trudno zdobyć bilety: „Usta milczą, dusza śpiewa” — według scenarjusza i w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego. Program informuje skromnie, że widowisko oparto „na motywach operetek Franza Lehara i Emmericha Kalmana”, ale to nie jest wszystko, gdyż nad całością operetkową, należycie rozkoszną, należycie idylotyczną i należycie też wydrwloną — unosi się jeszcze duch Becketta, duch rozpadu i zbliżającego się kresu wędrówki (jak w „Szczęśliwych dniach”), przesycający całość widowiska nutą niepokoju i przeczuć zgola nie kalmanowskich.

Dwie są interpretacje związku, łączącego w spektaklu teatru „Studio” ów świat wiedeńskiej opery (nie strausowskiej, lecz późniejszej, za to niepomiernie „słodziej”) ze światem beckettowskich niepokołów metafizycznych. Moloch rozrywki, masowej kultury, trywialnej i konformistycznej, pożera w końcu wszystko — a więc również to, co w wytorach kultury artystycznej jest wielką wartością, prawdą ludzkiego doświadczenia. Ale jest też możliwe, że Jerzy Grzegorzewski chce nam tylko przekazać ostrzeżenie, że ruch na drodze jest jednokierunkowy i że obowiązują tylko jeden drogowskaz, ten sam dla wszystkich: operetkowy hrabia Daniłó zmierza w tym samym kierunku, co beckettowska Winnie, tyle, że on o tym nie wie. Paradoks przedstawienia „Usta milczą, dusza śpiewa” polega na tym, że przyciąga ono jak magnes — choć właściwie powinno przestrzegać, a może nawet odtrącać. Zamierzony efekt? Chyba tak.

Świetne przedstawienie. Sztampowy artysta operetkowy nie jest w stanie pojąć,

ani tym bardziej zademonstrować na scenie, że dramaty baronów Bonich, hrabiów Daniłów i Wesolych Wdówek są produktem kultury zdzienniałości, nieodpowiedzialnej i usypiającej, którą należy wielbić — wydrwiwać, i mają na to swoje niezrozumienie argumentu naprawdę mocny: uwielbienie własnej publiczności. W „Studio” rewii operetkowych złudzeń prezentują aktorzy dramatyczni: ich interpretacja jest przewrotną mieszaniną solenności i jadowitej drwiny, co przy wybitnej muzykalności głównych wykonawców oraz ich inteligentnej interpretacyjnej daje wynik wspaniały. Tym wspanialszy, że do jednej z ról zaproszono prawdziwą solistkę teatru muzycznego: wokal i karykatura stają obok siebie, uświadamiając dystans, jaki dzieli dwa style kultury. „Studio” od ulicy Nowogrodzkiej.

Kto może, kto ma szansę, niech stara się zobaczyć to nowe wcielenie inscenizatorskiej i filozofującej inwencji Jerzego Grzegorzewskiego — oraz brawurę naprawdę wspaniałych wykonawców:

Anny Chodakowskiej (Sylwa Varescu) Małgorzaty Niemirskiej (Hanna Glavari), Terezy Budzisz-Krzyżanowskiej (w roli Paganiniego, który nagle przeobraża się w kobietę — z zupełnie innej operetki), Marka Walczewskiego (baron Boni), Zbigniewa Zamachowskiego (hrabia Daniłó). Każdy tu zasługuje na osobne potraktowanie, domagają się tego inteligencja interpretacyjna, zmysł humoru i karykatury, wspaniały luz psychiczny, ale na to nie mam już miejsca — stąd jeszcze dwa słowa tylko o Zamachowskim, bo jest to aktor młody (trzy lata na scenie) a już przedstawia się jako jedna z najciekawszych osobowości artystycznych w nowej zmianie naszego aktorstwa. Przyszan, że przeczuwałem to przed trzema laty, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tego utalentowanego chłopca na festiwalu szkół aktorskich w Łodzi.

Spzoza „operetkowej” czołówki obsady jeszcze dwa słowa o innych rolach, wyraziście i dowcipnie zarysowanych: księżnej Jolanty Hanisz, Winnie Anny Milewskiej, dyrektora teatru Józefa Wieczorka, obu huzarów Wojciecha Malajkata i Piotra Polka. Dużo nazwisk? Dużo, ale i obsada duża — oraz wyborne przedstawienie. (Opracowanie muzyczne Irena Kluk-Drozdowska, scenografia Krystyny Kamler i Barbary Hanickiej).